

Antoni Matuszkiewicz

Piasek pokory

2 0 1 4

Tytułowe sformułowanie zawdzięczam esejowi Karela Čapka *Chvála hmoty* ze zbioru *Věci kolem nás*.

Zdjęcia na obwolucie: Věra Kopecká

© Antoni Matuszkiewicz, 2014

© Věra Kopecká, 2014

Autor dziękuje Helenie Semenetz-Kwiatkowskiej i Wiesławowi Kwiatkowskiemu za ich pomoc, bez której nie byłoby możliwe ukazanie się tej książki

Dłoń ponad spopielającym
ogniskiem ciepło jeszcze
po tych co byli wczoraj

Runęła kamieniem pustułka
z tak wysoka jakby z ruiny
w niebo kościółek się zerwał

Płytki pełen nieba barok
podniósł tylko z doliny
Michał Klahr nurt Białej

Był sad pierwiosnki
na ruinach jak światło

Wysoko nad gruzami
że Niemców dostrzec

Góry aż po horyzont
nieruchomość myśli

Drapieżny milczy krzyczy
ten trzymany w szponach

Uciszyć się pojednać
u wrót ramiona dróg
rozłożone w śniegu

Każdy w swoim ciele
parę śpiących łabędzi
rozdziela zimna zielen

Liście spadające wiersz
napiszę o tobie Japonce
szeleszczącej jak deszcz

Nie myśl byś nie
wygrzebał tego
co ma przylecieć

Światło ze światła
wyrrywające ci się
by w oknie stanąć

To nie ja sam u siebie
posadziłem najwyższe
pozwoliłem pozostać

Pokazano podpowiedziano
wszystko dobry wzrok
starczy przytomność umysłu

Niedorośla terazniejszość
rozdwojona wciąż jeszcze
twarz drugiego lub Boga

Medytacja przed świtaniem
kiedy na zewnątrz oczy
otworzysz też będzie jaśniej

Jakby już umarły
zamglone upałem

Skwar przywarł czarny
baran do białej ściany

Mróz sokół wędrowny
penetruje ogród

Idzie zima biały terier
jakby miał się rozsypać

Cisza jaka
tylko od Boga

Po własnych śladach
pusty pełen śniegu las

Zamieć modlitwa
wznosi się co spadło

W niebie wszystko jasne
po przełamany opłatek

Sto lat temu ułożone kamienie
ze wzruszeniem tędy się idzie
jak przez kościół przez wiersz

Miliony mniszków szczegół
po szczególe ziemia uwalnia
z serca cerkiewną pozłotność

Chrzęst oszronionych świerków
zwierających szyk tarcze zbroje
zieleń już u kresu przejrzystości

Brzęk kwadransa w zimie
kościół Marii Magdaleny
pęka alabastrowe naczynie

Odeszli już czytający Pasję
sam w czerwonym ornacie
pod głazem kontemplacji

Rozcieńcza się czerń źrenic
w twarz i ciało przepływa
w tło złotem płonący ocean

Wiatr łyka nasiona
dmuchawca słowa
znalezione w lesie

Jak pada na ziemię
cień bezustannie
modlę się do Ciebie

Idąc wciąż wzwyż
zostawiasz w dolinie
murowany kościół

W medytacji cisza
po twojej stronie

Odmawiając podnosisz
zasłonę modlitwy

Tak to nie światło
myślałem tylko

Umierając oddawać
nie tracić

Miłość trwająca wiecznie
pozwala na jazz życia
choć jej standard to cisza

Nawet nie chcę otworzyć
całą trzymam w objęciach
jakbym zapadał się tonął

W ławce para katechumenów
jak ptaki na nowym miejscu
śledzące wokół gdzie pokarm

Na modrzewiu siadł szczygieł
nic nie słysząc zza okna
tylko twoje kroki piętro wyżej

Jeśli jesteś blisko mnie patrz
wzwyż choćbym nie mógł
wzroku oderwać od ziemi

Centra okręgów jakie kreśli jastrząb
jarzębina zmarznięta traci pewność
kształt twoja nicość in statu nascendi

Przykryj się głazem nie wiesz
co byś wykrzyczał co zrobił
kim byś mógł zostać odkryty

Wyszło z ścian czarnych
wizji Goyi do Schulza
rzekło namaluj mi bajkę

Jaka nasycona zieleń
w rozpadlinie światło
pół godziny dziennie

Zostanie mało używany
świat chciałbym mniej

Wszystko co żywe twoim
nienarodzonym dzieckiem

Kochać w zawieruchę zawieję
słowo modlitwy westchnienie

Twarz tak postarzała na krzyżu
wygląda na swojego Ojca

Dźwięk ubogi monotonna forma
rozkrakały się jastrzębie w niebie
najprzyziemniej o życiu i śmierci

W szarówce dżdżu najprawdziwszy
głos z niebiosów przelatujących gęsi
gdy prócz miłości niczego ci nie brak

Paśnik w mroźnej bieli aż pod połąć
niemo wypchany znaczeniem wabi
niby kruchość modlitw miłosierdzie

Nie zdążymy bo śnieg
to także mnóstwo słów
które by trzeba wybielić

Za Schuberta Chopina
jak się modlić
z jaką odwagą nadzieją
bardziej od nich

Psalterz o brzasku
oszroniony klasztor

Sarabanda na wiolonczeli
wyjść do ogrodu dotknąć
stopami rozpalonej ziemi

Tu w głębi jeszcze w maju biało
bezsilna doskonałość dzieciństwa
harmonia miłowanych zmarłych

Ze świata do świata tak nagle
od ekranu jaskrawego światła
w mrok wypełniony chorałem

Czule rower prowadzi pod górę
jakby mu świat chciał pokazać
jakby musiał w ofierze go złożyć

Mówi co za ulga zesła z niej
czarna krew aż taka zawzięta
że w nic nie chciała wsiąknąć

W skałach rumiany świt
tylko dokoła kostek chłód
szron kości zeszyłych dni

Serce negatyw pryzmatu
rozszczepienie kolorów
życia spływa w światło

Nie zasuwał zamka
w kieszeni kartka
poczynająca wiersz

Nie widać budynku
pozaziemską pełnią
lśni linijka rynny

Piszę lecz nie ten
który powinienem

Na Biblii dłoń obydwie
instrument na cztery ręce

Najwyższy najbardziej
zgarbiony w kapliczce

Wielki Wóz obrazek
święty w oknie auta

Na pobladłym niebie
różowe blizny góry
Igną ciasno do ziemi

Załał jak dziecko
lecz pośród chmur
już tak blisko Ojca

Biały jazz niema
improwizacja drzew
na temat nieba

Żarzy krystaliczność
śniegu w winie chleb
poranna Eucharystia

Z uśmiechem witający
każdego wchodzącego
do kościoła Chrystusa

Gdy byli najbliżej
mnie przegapiłem
fascynującą inność

Śnieg nagle ustał jakbym wziął
głęboki oddech świat mi znów
powiedział jest na ciebie miejsce

Nie będzie miał dla ciebie ani
odrobiny litości pozostaniesz
ten tylko jakiego w sercu nosi

Wietnamka w czesko-polskiej grupce
z kotkiem w koszyku taka młodziutka
w splecionych dłoniach Europejczyków

Ileż to niewysłuchanych dzieł
mkniemy nocnym ekspresem
nie widząc ogromnych drzew

Wciąż podtrzymują jeszcze
zaklęszą smołowaną połąć
skrzydła z płatków czereśni

Miń mnie zapomnij wiersze
świerki z ostrzami w niebie
kierunek ten tylko pamiętaj

Mniej więcej mnie kaskada
za kaskadą porywany siłą
ciążenia wzwyż spadam

Komu się zawdzięczasz
Bogu rodzicom Ziemi
myśli mówiącej jestem

Przybity mrozem poblady
wiersz w przestrzeni ulga
stygmat po niewidzialnym

Można nie skruszyć trzciny
nie naruszyć ciszy myślą
żyjąc tylko aby oddać życie

Nad rzeką wisi Wielki Wóz
nie szukaj pod nogami już
masz co trzeba oszczędzić

Światełka na burym błękanie
jak dzwonki na kociej szyi
by ptaki mogły ujść z życiem

W poezji życie
gęste aż przyszło

Zgłębić myślą
pójść na dno

Święci cienie wokół
wewnętrznego ognia

Suchy śnieg głęboki
o świcie śpiew sufich

Nacisk ciszy jaki
głaz w głębi doliny

Płakałem po nim teraz
chciałbym bardziej

Ze wszystkich darów
najgłębsza samotność

Idę spać w lustrze
okno pełne gwiazd

Rankiem muzyka z radia
niepojęta niezrozumiała
w sinej mgle siwa czapla

Obnaża zaróżowione skały
mgła mężczyzna i kobieta
obudzeni w jedynym Bogu

Na kamiennych stopniach
śnieg z twoich butów
okruchy opłatka

Dopytywanie się terażniejszości
wiersz mroczna stacja między
ciepłym dyszeniem lokomotyw

Dzielisz się ze mną miłością
trwa ewangelia światła
gdy ziemię kryją ciemności

W okno podniosłem oczy
znad przekładanej poezji
od szkła odbił się motyl

Pies biegnie przed nimi
jak życie nie rozumiejąc
starają się o nie do końca

Niewielu z nich wierzy w Boga
gdy spojrzeć w oświetlone okna
od razu się widzi niebiosa

Od lęku przed życiem
do trwogi przed sobą
bo nie umrę wszystek

To nasze wewnętrzne
ciepło aż lód spływa
z dachowego okienka

Niecała jeszcze a już
się rwie pamięć biała
smuga za samolotem

Noszę po mieszkaniu
Biblię ze łzami ciężką
jak krzyż

Wozili siano wczoraj dziś
w krąg stogi stoją mogiły
świątynie jeszcze zielone

A ciało śpiewa piosenkę
jakby już było od ciebie
wolne z tą ziemią jedno

Za czym za jaką gwiazdą
a sam dlaczego zostawiasz
w oknie świecące drzewko

Zdarłszy szron nareszcie
przejrzałem czerń tunelu

Szczeble aleja spadła w mgle
pomieszane języki pejzażu

Rwiesz to splot twych tkanek
przekraczasz a to kres ciebie

Jasne jak Słońce śmieje się
Kosmos pełen ciemności

Brzęk monety wypełnia
pusty kościół milczenie
Hostii sięga aż do nieba

Grzebie w śniegu
jakby miała znaleźć
nie pokarm światło

Nawet nie czytać
ani nie rozumieć
kochać w całości

Wiersz oko węża rozwarta
paszcza reszta krew tylko
smuga rozmazana w czasie

Liryczny pejzaż miejsca
na skórze Ziemi wciąż
pamiętające dotyk

Z wierszem z kartką w dłoni
skaczę z brzegu na brzeg
jakbym zrozumiał cokolwiek

Miesiącami trwał śnieg
w oddechu nagiej ziemi
dotąd gorycz i gniew

I deszcz i płacz
spada na ziemię
ciemność sponad nas

Nie stacza mi sił
by ścinać drzewa
już tylko sadzić

Ufam także Temu
z krzyża samobójcy

Nie kochać całe życie
z kimś jest miłością

Tajemnice Jednego
dziesiątki Różańca

Nie klękaj nie padaj
krzyżem bądź sobą

Dla nas nieurodzone
na samym szczycie śnieg
co nie spadł nam w dłonie

Późny miedziany świt
który świat tu odkryje
gdy tyle liśćmi zakryte

Szybowiec za samolotem
krzyż za krzyżem
cięższy prowadzi

Czas kiedy jeszcze
w większości się jest

Odwilż o zmierzchu
przebiśniegi gwiazd

Różowe floksy w ciemności
oniemiałe oklaski dla Boga

Na horyzoncie nic
nieskończoność

Niczego z cudzych słów
wszystko z własnej ciszy

Choć nie słuchałem
wiem mijało piękne

Dostrzec niebo
zgarbione pod tęczą

Czas już jak najlepszy
uzyskać na wieczność

Drozd zza ściany w łazience
słucham w takiej ciszy aż ktoś
jakby też słuchał przeze mnie

Nie anioły ukazujący się zmarli
talentem wszystkiego dopatrzeć
zobaczyć na własne wiersze

Kruchy lód wszędzie
nikt nie pisze w głębi
tylko na powierzchni

Przy paśniku pierwszy
szron znikły jabłka

Jak bardzo biało tutaj
w lipcu zygzak żmii

Las najciemniej
idąc na Pasterkę

Nie czuję siebie nagle
rozpierzchnięte sarny

Niebo jak Bóg
dla niczyich

Smuga mgły zapach
jej czarnej apaszki

Nie ma czego żałować
w życiu prócz czystości

Nagość gwiazd czy
niewinność ciemna

Jeszcze nie wiosenny deszcz mżenie
koniec marca znak byle przylaszczka
wciąż to życie do jakiego przywykłeś

Pierwiosnki i fiołki
podarowałem
podręcznik sanskrytu

Cały dzień w nowym mieszkaniu
kładałem książki na ostatniej półce
opuszkami poczułem sierść sarny